

rozmawia

Hanna
Wilczyńska-
-Toczko



Fot. Adam Warzawa

Wierzę w sens cierpienia

Kiedy odchodzi ktoś bliski,
to człowiek nawet tego
nie rozumie. Wydaje mu się,
że ten ktoś wyjechał.

wiedzą. Dowiadują się w momencie, kiedy coś tracą.

- I wtedy wpadają w rozpacz, szczególnie po stracie kogoś najdroższego. To bardzo trudne pogodzić się z odejściem najbliższych ludzi.

- Kiedy odchodzi ktoś bliski, to człowiek nawet tego nie rozumie. Wydaje mu się, że ten ktoś wyjechał. A potem mija czas i wie się już na pewno, że nie wróci. Wtedy trzeba znaleźć sposób, żeby mimo

wszystko żyć - bez tej osoby. Wiesiek Dymny był moją wielką miłością. Umarł w siedemdziesiątym ósmym roku. A ja do tej pory, jak coś robię, zawsze się zastanawiam, co by Wiesiu o tym pomyślał. Kiedy mam jakieś dylematy - Wiesiek w pewien sposób mi pomaga. Wierzę, że umarli są cały czas z nami. Tu nie chodzi o duchy, ale rodzaj energii. Jeśli ktoś nas kochał, był z nami bardzo blisko, to zostaje w

nas i daje nam się. Kownie silnie czują obecność mamy, chociaż nie żyje już od paru lat.

- Mama zaraziła panią dobrocią i potrzebą niesienia pomocy bliźnim. Otrzymała pani jako pierwsza kobieta Medal im. Brata Alberta za pomoc osobom niepełnosprawnym.

- Staram się pomagać cierpiącym, zepchniętym na marginesy życia. Świadomość, że jestem potrzebna, daje mi energię. Ten medal bardzo mnie zmobilizował. Zaczęłam organizować festiwale twórczości osób niepełnosprawnych, akcje charytatywne. Od lat prowadzę zajęcia teatralne dla ludzi upośledzonych umysłowo. Dostaję od nich tyle miłości!

- I tyle jej pani daje! Aż trudno uwierzyć, że los tak srogoze panią doświadczył.

- Mam dopiero pięćdziesiąt jeden lat i żaden topór nie wisi mi nad głową. Staram się żyć tak, jak mówi mój ulubiony poeta ksiądz Jan Twardowski: „...od zwykłych rzeczy naucz się spokoju i zapomnij, że jesteś, gdy mówisz, że kochasz.” Więc uczę się spokoju, kiedy chodzę po lesie i to jest piękne: zwyczajne, a jednocześnie metafizyczne. I pięknie jest, kiedy mamy w teatrze premierę albo kiedy kopię mój ogródek.

- Powoli odchodzą wielcy aktorzy, z którymi się pani przyjaźniła, grała razem z nimi na scenie Teatru Starego w Krakowie.

- Bardzo przeżyłam śmierć Jerzego Bińczyckiego. Byliśmy pokrewnymi duszami, opiekował się mną, dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Podobnie było z Władysławem Hańcżą, który grał mojego dziadka Kargula. Tyle się od niego nauczyłam! A Zofia Jaroszevska - mimo że kiedy się poznałyśmy, miała koło osiemdziesiątki, była dla mnie wzorem życzliwości i dobroci. Chciałabym zestarzeć się tak pięknie jak ona. Zosia nie żyje już tyle lat, a ciągle mi towarzyszy.

- Coraz więcej świeczek zapala pani na grobach bliskich i przyjaciół.

- Przywiązuję dużą wagę do pamięci o tych, którzy odeszli. Uczę tego mojego syna. Na wszystkie święta, nie tylko w Święto Zmarłych, idziemy na groby z własnoręcznie podpisanymi świeczkami. Ta dla Wiesia, ta dla mamy, Jurka, Zosi... Po wizycie u nich czuję spokój i równowagę.

- To takie przenikanie światów żywych i umarłych. Jak w poezji księdza Twardowskiego?

- On bardzo mądrze pisze, tylko trzeba chcieć to usłyszeć i poczuć w sobie. Pisze, że jest chwila jasna i chwila ciemna, chwila powitania i pożegnania. Jest życie, żeby mogła być śmierć - to wszystko ma ogromny sens.

- Nie ma w pani lęku przed śmiercią?

- Tak sobie myślę, że tam w niebie (choć kto wie, gdzie ja trafię) jest moja mama, i Wiesiek, i Piotruś Skrzynecki - tyłu bliskich na mnie czeka. I oni pewnie też za mną tęsknią i szykują mi miejsce przy ognisku. Więc to przejście nie będzie takie okropne. A kiedyś to w jakąś pustkę bym szła.

Autorka jest dziennikarką Radia Gdańsk